

A close-up, profile view of a man with a light beard and mustache, wearing a dark suit jacket over a white shirt and a dark tie. He is adjusting his tie with his right hand. The background is a solid dark blue.

Pan WIELKI PROBLEM

*Miała unikać go za wszelką cenę,
ale czasem serce wygrywa z rozumem*

R.S. GREY



R.S. GREY

Pan
WIELKI
PROBLEM

PRZEŁOŻYŁA

Małgorzata Bortnowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Mr. Big Shot

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Agnieszka Fiedorowicz

Redakcja: Magdalena Kawka

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Nestor / Stoc.Adobe.com

Wyklejka: © Екатерина Хныкина / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2023. MR. BIG SHOT by R.S. Grey

Copyright © 2025 for the Polish edition by Papierowe Serca an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Bortnowska, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8417-108-0

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Rozdział 1

Scarlett

Duże kancelarie to określenie, jakim nazywa się największe i najbardziej prestiżowe firmy prawnicze w kraju.

Oto jak używamy go w zdaniu:

„Wszyscy najlepsi absolwenci wydziałów prawa przyjmują oferty dużych kancelarii”.

„W dużych kancelariach zazwyczaj są najlepsze zarobki i bonusy w tej branży”.

Oto jak używa się tego określenia w rozmowie z terapeutą:

„Duża kancelaria zrujnowała mi życie”.

„Gdyby nie duża kancelaria, byłbym [żonaty, szczęśliwy, zrównoważony, trzeźwy]”.

A oto jak od dziś ja będę używać tego wyrażenia:

„Och, mój pierwszy rok w dużej kancelarii? Poszło jak z płatką”.

„Zrobiłam z dużej kancelarii swoją dziwkę”.

Na stoliku nocnym brzęczy budzik, ale dzwoni tylko pół sekundy, bo tyle zajmuje mi sięgnięcie i wyłączenie go. Nie był konieczny. Już dawno nie śpię, czuwam od dwóch godzin. Stoję obok łóżka w stroju, który wybrałam starannie i z rozważą. Kiedy kierowałam się do kasy w Barneys, asystentka sprzedaży łykała advil na migrenę i ponownie rozważała obroną ścieżkę kariery.

Zdecydowałam się na fajne, obcisłe, długie do kostek czarne spodnie oraz kremową bluzkę z paskiem i zawsze modne zamszowe czółenka z kokardką, firmy Aquazurra, chociaż włożyłam je dopiero w biurze. Mam też używany zegarek Cartiera, czyste, zadbane paznokcie i diamentowe kolczyki w uszach – i nic poza tym.

Tak musiał się czuć Batman pierwszego dnia w pracy. Założyłam się, że dzień wcześniej znalazł czas i podjechał batmobilem do myjni, żeby wszystko lśniło. Chyba musiał nieźle się spieszyć, żeby zedrzeć metki z tych nowiutkich wojskowych butów i elastycznych nylonowych rajtuzów, zanim zamocował wszystkie gadżety i zabezpieczenia.

Czuję podobną ekscytację, gdy biorę torbę, do której zapakowałam już wszystko, czego mi trzeba, a nawet więcej. Wychodzę na zewnątrz, gotowa na spotkanie dnia... i akurat musi na mnie nasrać jakiś ptaszek.

Zamieram i patrzę na siebie, oniemiała z szoku. Dopiero po chwili zauważam białą maź ściekającą mi z przodu bluzki w stronę spodni. Zalewa mnie fala paniki. NO NIE. Ociągałam się w mieszkaniu celowo, żeby nie czuć się głupio, przychodząc do biura o wiele za wcześniej, ale teraz, TERAZ, pluję sobie w brodę, że nie koczowałam przed biurowcem Elwood Hoyt całą noc. Powinnam spać pod biurkiem. Zesztywniały kark to nic w porównaniu z tą katastrofą.

Już dobrze, mówię sobie, próbując opanować walenie serca, które zasuwa jakieś sto dziewięćdziesiąt na minutę. Przemknęłam już obok ryzyka zawału i teraz grozi mi samozapłon. Niemal wbiegam do holu mojego apartamentowca, starając się nie krzyczeć, kiedy winda wlecze się, jakby właśnie zastrajkowała.

Na szczęście przygotowałam już ubrania na cały tydzień. Szybko zmieniam bluzkę na czarną jedwabną i zbiegam po schodach, zostawiając windę ludziom, którzy nie zaczynają właśnie pierwszego dnia reszty swojego życia.

Wychodząc z budynku, spoglądam czujnie na ptaka winowajcę. Przysięgłabym, że zerka chętnie ze swojej rosochatej gałęzi. Niewątpliwie rozciąga i zaciska mięśnie zwieracza na wypadek, gdybym znów podeszła zbyt blisko.

Pokazuję mu (potajemnie) środkowy palec, zakrywając ten gest drugą dłonią, żeby przechodnie nie wzięli mnie za wariatkę. Potem skręcam tam, gdzie od początku zmierzałam, i ruszam.

Przebranie się w nowe ciuchy zabrało mi tylko dziesięć minut, ale wydaje się to o dziesięć minut za dużo. Jest pierwszy tydzień października i nieustanne letnie upały wreszcie minęły. Czuję wdzięczność za to rześkie, jesienne powietrze owiewające mnie, gdy tak pędzę przez przecznice miasta.

Jestem w samym centrum Chicago, w dzielnicy River North, otoczona przez luksusowe sklepy, urocze knajpki i wyniosłe drapacze chmur. Każdy zakątek ma tu swoją historię, mijam miejsca, koło których zwykle lubiłam się przechadzać niespiesznym krokiem, a nie gnać na złamanie karku. Dziś rano niestety nie mam czasu na latte z mojej ulubionej kawiarni ani na bajgla z tego sklepiku na rogu.

Dzięki Bogu z mojego mieszkania do biur Elwood Hoyt można dotrzeć na piechotę. Błyskawicznie pokonuję półkilometrową trasę, przystając tylko raz, kiedy ciężarówka

dostawcza omal mnie nie potrąca, gdy rzucam się biegiem przez ulicę. Metalowy zderzak mija moje udo o centymetr, a gburowaty kierowca wydziera się do mnie przez okno:

– Chcesz umrzeć, paniusiu?!

Nie! Wręcz przeciwnie – chcę spełniać marzenia!

Skręcam za ostatni róg i widzę mój cel.

W mieście takim jak Chicago każdy drapacz chmur ma przewyższyć sąsiedni. Szefowie korporacji chcą mieć swoje siedziby w potężnych i onieśmiałających fortcach i Elwood Hoyt tak właśnie wygląda. Przycupnięty nad rzeką Chicago, celuje kamienno-stalową fasadą w samo niebo, zwłaszcza z miejsca, gdzie stoję, drobinka u jego podnóża.

Przystaję przed wejściem z nieskazitelnie czystego szkła, żeby zmienić buty na płaskim obcasie na czółenka. Poprawiam torebkę, przyglądam włosy i upewniam się, że plakietka z nazwiskiem zwiesza się niedbale z klipsa na moim biodrze. A potem, trzymając głowę wysoko, przechodzę przez rozsuwane drzwi.

Czeka tam na mnie Barrett, stoi przed kołowrotem i punktem ochrony. To miła niespodzianka zobaczyć dziś rano jego czarujący uśmiech. Ze wszystkich moich braci (a mam ich wielu) Barrett i ja jesteśmy do siebie najbardziej podobni. Mamy takie same pociągłe twarze, wysokie kości policzkowe, ciemne oczy i oliwkową cerę. Jego kasztanowe włosy są jednak o wiele, wiele krótsze niż moje, chociaż podoba mi się, że pozwala, by jego kędziory lekko się kręciły, do czego mają tendencję. Pewnie powinnam za to podziękować Nylesowi – zawsze protestuje, kiedy Barrett próbuje się wybrać na podstrzyżenie.

Brat trzyma w prawej dłoni kubek kawy. Podchodząc, od razu mu go podwędzam. Widzę z jego miny, że ta kawa i tak była dla mnie.

– No, siostrzyczko, jesteś na styk.

– Zdążyłam. – Dąsam się, obrażona, że mógł we mnie zwątpić. Wie, że akurat dziś na pewno bym się nie spóźniła.

– Spociłaś się.

– Wcale nie. – Spoglądam na niego gniewnie, a potem pociągam łyk kawy.

Jest taka, jak lubię, czyli cappuccino z dodatkowym espresso. Za parę minut będę nabuzowana, zwłaszcza że dziś rano nie potrafiłam wmusić w siebie śniadania.

– Tak, trochę się błyszczysz od potu, ale wyglądasz, jak należy. – Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, uśmiechając się z dumą. – Świetny strój.

– Tak myślisz? To nie był pierwszy wybór.

Uznaję, że lepiej nie wspominać o ptaku. Nie chcę się znowu denerwować.

– Tak. Jest doskonały.

– Zegarek po babci – mówię, unosząc przegub, żeby mógł zobaczyć.

Uśmiecha się.

– Miło.

Jeśli jest ktoś, kogo cenię jako krytyka mody, to właśnie Barrett. Dziś, w zwykły wtorek, ma na sobie granatowy prążkowany garnitur z dopasowaną chusteczką w paski złożoną schludnie w kieszeni na lewej piersi. Krawat jest w tym samym odcieniu co marynarka, a koszula o parę odcieni jaśniejsza niż całość, jaskrawoniebieska jak hortensja. Wybija się jak wyrazista plama na tym neutralnym tle.

Podczas gdy w każdej innej profesji wszystko wydaje się zmierzać do rozluźnienia zasad dress code'u w miejscu pracy i zezwolenia na swobodne stylizacje typu džinsy i sneaker-sy, w kancelariach prawniczych jest inaczej. Firmom takim

jak Elwood Hoyt szczególnie zależy na pozorach. Oferujemy kompleksowe usługi prawne we wszystkich dziedzinach prawa korporacyjnego. Nasi klienci to wielkie spółki, instytucje inwestycyjne, członkowie rodzinnych zarządów, i doceniają wpływy i reputację, jaką odznaczają się firmy takie jak nasza. Nie chcą ćwoka w klapkach, chcą zadbanego prawnika w dopasowanym garniturze, kogoś, kto wygląda i zachowuje się jak rozsądny człowiek.

I miejmy nadzieję, że kimś takim jestem ja.

Barrett wskazuje ruchem głowy na windy.

– Chodźmy. Odprowadzę cię.

Pozwalam mu przejąć inicjatywę, a on zbywa ochronę machnięciem ręki, jakby był właścicielem tego miejsca.

– Widziałeś dziś rano tatę?

– O tak. Jest tutaj.

Przełykam nerwowo ślinę.

– I?

– I na pewno go zobaczysz, zanim minie dzień. Przygotuj się.

Wzdycham i czekam obok niego, aż jedna z tuzina wind zjedzie na parter. Za nami dźwięczy dzwonek, odwracamy się do windy, akurat gdy rozsuwają się rozświetlone drzwi.

Wsiadamy, za nami chce też wejść młody blondyn paradujący z nowiutką plakietką Elwood Hoyt, lecz Barrett powstrzymuje go uniesieniem dłoni.

– Nie. Jedź następną.

Ostłupiały mężczyzna zatrzymuje się w progu, mrugając ze zdumienia, a drzwi windy zasuwają mu się przed nosem.

– Wiesz, to było niegrzeczne – upominam brata ze śmiechem, kiedy zostajemy sami.

– I konieczne. – Barrett odwraca się ku mnie ze stanowczą miną. – Zostało nam tylko parę sekund na rozmowę. Chciałem

wziąć cię gdzieś na bok od tygodni, ale byłem jak zwykle zajęty. Posłuchaj, nie musisz w to brnąć.

Marszczę brwi. Brat milknie, żeby zaczerpnąć tchu, a kiedy zaczyna mówić, jego słowa są poważniejsze niż zwykle.

– Nikt o tobie źle nie pomyśli. Przysięgam. Jesteś gwiazdą naszej rodziny, bystrą małą siostrzyczką, którą wszyscy kochamy do szaleństwa, ale to? Ta twoja posada w Elwood Hoyt jest całkowicie niepotrzebna. Spójrz tylko na mamę, gdzie teraz jest?

Marszczę brwi, niepewna, dokąd to zmierza.

– Na południu Francji, w interesach...

Rozmawialiśmy wczoraj. Wygłosiła przemowę bardzo podobną do tej, którą obecnie raczy mnie mój brat. Czyżby się zmówili?

– Mogłabyś tam z nią być. Powinnaś tam być – mówi zdesperowanym tonem. Lada chwila, a zacznie mną potrząsać. – Zjedzą cię tu żywcem, Scarlett.

Splatam ramiona na piersi, z każdą chwilą bardziej rozgniewana.

– Czy tę samą mowę wygłosiłeś przed Wyattem i Conradem, kiedy objęli swoje stanowiska w tej spółce?

Wzdycha niecierpliwie.

– Oczywiście, że nie. Conrad jest z nas najbardziej zażarty. Musiał zostać prawnikiem; w żadnej innej profesji by go nie wzięli. A Wyatt... cóż, znasz go, kiedy już coś postanowi, nic tego nie zmieni.

Unoszę podbródek.

– No właśnie. Udawaj więc, że niczym się od nich nie różnię, i odpuść sobie. Już po wszystkim. Podpisałam umowę.

Przewraca oczami, niezbyt przekonany tym drobnym szczegółem.

– Och, jakby tato nie mógł jej po prostu podrzeć.

Zaraz stracę panowanie nad sobą. Potrząsam głową, marszczę brwi, zaciskam wolną dłoń w pięść. Niech lepiej uważa, bo go rąbnę – serio, i nie tak jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

– Dlaczego tak się temu sprzeciwiasz?

– Bo cię kocham. Bo chcę dla ciebie lepszego życia. – Mówi to tak dobitnie, że niemal zaczynam mięknąć, tak mnie rozczuła życzliwość w jego tonie, te wielkie brązowe oczy błagające mnie, bym posłuchała głosu rozsądku. Omal się nie poddaję, ale nie.

Spoglądam na niego ostro, a potem nagle się odwracam w stronę drzwi windy. Zignoruję go, jeśli będzie ciągnął to dłużej. Jego słowa naprawdę mnie bołą. Mówi jak mama i tata, a także jak Jasper. Słowo daję, wszyscy są przeciwko tej pracy, o której marzyłam jako mała dziewczynka, błagając mamę, by kupiła mi służbowy kostiumik w dziecięcym rozmiarze. Kiedy byliśmy całkiem mali i tato zaciągał nas do tego właśnie biura, bracia biegali dookoła jak szaleńcy, wyrrywając kwiatki z doniczek i bazgrając po ścianach, ale nie ja. Ja siadałam za biurkiem, podnosiłam słuchawkę i naśladowałam słowa, które milion razy słyszałam z ust taty: „Sędzia, wykup akcji, umowa, oferta. Nie! Nie pójdziemy na kompromis!”.

Potem rzucałam słuchawkę i obracałam się na krześle, a cała ta zmyślona potęga uderzała mi do głowy, choć stopami nie sięgałam podłogi.

Oczywiście Wyatt, Conrad i Barrett są dobrymi prawnikami, jednymi z najlepszych, to nie ulega wątpliwości. Czuję jednak, że mam, co trzeba, żeby ich wszystkich przewyższyć, a jeśli nie, to przynajmniej stać u ich boku, wnosząc swój wkład do spółki, którą nasz ojciec pomagał zakładać. Nie potrzebuję rozpieszczania.

Przemowa Barretta bynajmniej nie odwiodła mnie od mojego celu. Marnował tylko energię.

– Jeśli to wszystko, co masz mi do powiedzenia, resztę drogi możemy przejechać w ciszy.

Pojękuje i kręci głową, a winda wznosi się coraz wyżej w kierunku naszego celu: siedemdziesiątego piętra, czyli departamentu fuzji i przejęć. To znaczy mojego drugiego domu na najbliższą przyszłość. Czuję dreszcz ekscytacji.

– Niech ci będzie. Wrócimy do tej dyskusji innym razem. A teraz, jeśli naprawdę zamierzasz w to brnąć, mam pewną radę.

Odwracam się ku niemu z zaciekawioną miną. Akurat to chcę wiedzieć. Od tygodni męczyłam braci o jakieś wskazówki.

Barrett zaczyna pospiesznie.

– Znajdź jakiegoś kolesia i się go trzymaj. Nie przetrwałbym początków ani pierwszego roku, gdybym nie miał w odwodzie dobrego zespołu. Płatne godziny. Cholernie dokładnie ich pilnuj. Niech ci wejdzie w nawyk wpisywanie ich co wieczór do systemu. Jeśli tego nie zrobisz, pożałujesz. Aha, i jakiegokolwiek cel ci wyznaczą, dodaj pięćset godzin, lekko licząc.

– Pięćset godzin więcej?

Wzrusza ramionami, nie przejmując się moim zdumieniem.

– A to tylko dolna granica tego, ile wyrabiają niektórzy z pracowników.

– Chryste – syczę pod nosem.

Winda zatrzymuje się nagle, a oczy Barretta rozszerzają się z obawą. Drzwi się rozsuwają, a on podchodzi do mnie bliżej, chwyta mnie za ramię i przyciąga ku sobie, ścisząc głos.

– I co najważniejsze, cokolwiek się stanie, za wszelką cenę unikaj Hudsona Rhodesa. Słyszysz mnie? Studiowaliśmy razem i wiem, że to facet bez serca. Pan wielki problem. W dziale

fuzji i przejęć jest czterech partnerów i każdego da się znieść, z wyjątkiem Hudsona. Zrozumiano?

O rany.

– Tak.

Czyli Hudson Rhodes to diabeł w ludzkiej skórze, mam wybrać kogoś innego, wszystko jasne.

A teraz... pora skopać tyłek jakiegoś prawnika.

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca